

Wrzesień

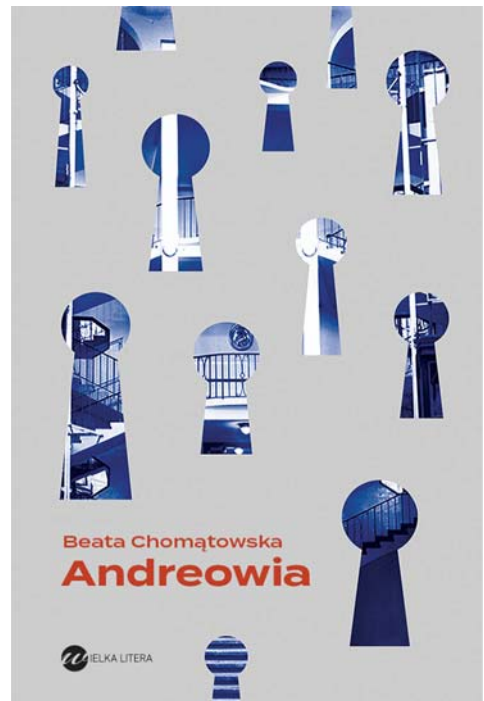
KATARZYNA KACHEL

Stacja Beata Chomątowska

Ważne są dla niej miejsca i słowa. Miejsca, które są jak stacje, i zdania, które potrafią przerodzić się w opowieść. Stacji w jej życiu można naliczyć całkiem sporo, zdań, z których ułożyły się książki, jeszcze więcej. Tą ostatnią Beata Chomątowska wraca po szesnastu latach do Krakowa i Pałacu Prasy, w którym rozpoczynała dziennikarską karierę.

Nie o rozliczenie z przeszłością jednak w tej książce chodzi, a o historię mężczyzny, którego literackie życie zaczyna się, kiedy go „wycięli z matki, gdy była już stara”.

Pierwsze zdania mają znaczenie, tak jak i pierwsze doświadczenia, tworzące niezależny od genetycznego kod, do którego z czasem będzie się można odwołać, może nawet sobie z niego czerpać. Doświadczenia Beaty Chomątowskiej, a przynajmniej te, którym już towarzyszyła pamięć, mają początek na ulicy Opolskiej w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku.



Beata Chomątowska, *Andreowia*, Wielka Literatura, Warszawa 2021

Stacja 1. To ten czas, kiedy kończy się rodzicielska izolacja, a zaczyna adaptacja i szukanie stada.

Osiedle XXX-lecia PRL, dziś Krowodrza Górka, długie niczym mur chiński, bo połączone w tak zwany tysięcznik, dziesięciopiętrowe bloki. W jednym z nich mieszkała prawie od urodzenia. – Przyjemne, zielone osiedle, niemające nic wspólnego ze stereotypem „blokowskie” czy „blokowskie” – zaznacza.

Wszyscy chodzili do tej samej podstawówki, bawili się na tym samym podwórku i grali razem w gumę czy kapsle. Wspólny był też trzepak, od drugiej, tej mniej słonecznej strony świata. Później opisze tamten świat w *Betonii*, by zestawić doświadczenia mieszkańców innych osiedli z własnymi.

Bloki przecinały przejścia-tunele, w których można było się bawić, kiedy padał deszcz albo kiedy się chciało zniknąć z zasięgu wzroku rodziców. Czas leniwie rozciągał się na całe dni, podczas których grało się w piłkę czy chowanego, krzycząc pod oknem, by mama zrzuciła coś do jedzenia albo pieniądze na oranżadę. – W bloku mieszkały dzieci o rozmaitym pochodzeniu. Pierwszą lekcją, jaką uzyskałam, wzrastając w takim miejscu, było przekonanie o różnorodności świata i szansa doświadczenia jej we wszystkich przejawach, także tych przerażających czy smutnych. Tego nie zapewniłoby mi wychowanie w inteligentnej enklawie. Podwórkowa gromada dała mi jeszcze coś więcej, czego jako wieloletnia je-

dynaczka, długo wychowywana pod kloszem, byłam spragniona – asymilację w gromadzie rówieśniczej. Musiałam zapłacić frycowe, ale w końcu dołączyłam do stada – opowiada.

Stado spędzało całe dni razem. Kiedy rodziców nie było w domu, szło się do sąsiadów z naprzeciwka albo z dołu. Na przechowanie i gorącą zupę. – Dzięki podwórku dostąpiłam szansy na socjalizację – mówi Beata. Tak spełniła potrzeby adaptacyjne, z punktu widzenia ewolucji słuszne i jedyne z możliwych, by przetrwać.

Inaczej może na całe życie została by odludkiem z nosem w książkach. Pokarm dla siebie znajdowała w bibliotece rodziców, sąsiadów i u ciotki lekarki, u której spędzała wakacje. Czytała książki dla dorosłych, wykorzystując przekonanie tych ostatnich, że jeśli dziecko czyta i jest cicho, nie należy mu przeszkadzać w samorozwoju. Gdyby lektury Beaty próbować odtworzyć zgodnie z porządkiem chronologicznym, pierwszą i ważną był *Dziadek do orzechów* Hoffmana z ilustracjami Szancera, w którym magia przeplata się z grozą, a potem to już będzie tylko kłopot.

Kłopot, bo samodzielnym wyborom Beaty daleko było do listy lektur dla uczniów szkół podstawowych. Oprócz baśniowego kanonu, obejmującego między innymi braci Grimm czy Andersena, był wybór „dorosłego” wydania *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, a równolegle powieści przygodowe: Verne, Dumas, klasyczna polskiej literatury, ale i podczytywanie

Schulza, Balzaca czy Stendhala. Mogło to nieźle namieszać w głowie już na starcie. – Połowy tych dorosłych lektur wówczas nie rozumiałam, ale działały na mnie niezwykle imaginacyjnie. I na zawsze została mi słabość z jednej strony do historii fantastycznych, mitycznych, z drugiej do klasycznej powieści – przyznaje.

Była głodna nowych wrażeń, a dziecko głodne, chce cały czas więcej. Produkcja własnych książek, własnoręcznie ilustrowanych, składanych chałupniczym sposobem może i nie była przykładem najwyższej sztuki edytorskiej, śmiało jednak zaspokajała indywidualną potrzebę kultury i kreacji uczeniicy podstawówki. Rodzice przyglądali się tym próbom życzliwie, dopóki można było traktować je jak zabawę. – Są takie teorie, że niektóre dzieci wcześniej pokazują, w którą stronę je ciągnie. U mnie to było pisanie, na pewnym etapie połączone też z nagrywaniem wymyślonych historii na magnetofon kasetowy firmy Grundig – wspomina. Ale dodaje ze śmiechem: – Nie chciałabym dziś tamtych prób czytać.

Nawet tych, dzięki którym wygrała konkurs literacki i mogła wybrać sobie liceum (chciała pójść do plastycznego, sprawę rozstrzygnęli jednak drżący o przyszłość córki rodzice). – To były minimalistyczne, mroczne opowiadania, na które z jednej strony składały się różne ówczesne zapatrzenia i wielopiętrowe stylizacje, a z drugiej wrażliwość i zatopienie w swoim świecie. Dziś

pewnie odebrałabym je jako nieznośnie pretenjonalne – mówi.

Stacja 2. To ten etap, kiedy wybory przestają być przypadkowe, a świadomość uruchamia własne procesy myślowe, dzięki którym Beata już wie bardziej, kim jest i kim chce być.

Fascynacja radiem zaczęła się pod koniec podstawówki i płynnie przeszła na czas spędzony w liceum imienia Nowodworskiego. – To było słuchanie pasjami Trójki i zauroczenie programami Tomasza Beksińskiego, które współdzieliłam z przyjacielem. Jakież było nasze rozczarowanie, gdy w końcu ujrzeliśmy na żywo naszego idola na giełdzie płytowej Pod Przewiązką – śmieje się dziś. Mimo rozczarowania dała sobie wcisnąć do ręki domowy numer telefonu, a nawet przeprowadziła z nim kilka osobliwych, długich rozmów.

Po nich zainteresowanie dziennikarzem i jego programami spadło niemal do zera. Może praca w radiowęźle szkolnym i słuchanie mrocznej muzyki to było poszukiwania swojej drogi, a może zwykły etap, obecny w biografii wielu rówieśników Beaty. – Na pewno wiązało się z buntem wobec rodziców, którzy mieli dla mnie z góry określoną przyszłość, jak i chęcią przebywania wśród podobnych sobie ludzi, wolności, zabawy, eksperymentowania – zastanawia się.

Zanim nadeszła przyszłość, z którą Beata i ta jej część, która zawsze wiedziała, czego

chce, musiała się skonfrontować, dorabiała sobie przy plewieniu zieleni miejskiej i na stacji benzynowej. Trzymianowy system zaburzył jej sny, ale pozwolił zarobić na pierwsze pomaturalne wolnościowe wakacje.

Studia wybrali jej rodzice. Ekonomiczne.

Trawestując Bouviera, czekała już na nią gotowa buda z pełną miską: po ich ukończeniu miała zostać na uczelni i kontynuować akademicką tradycję. Tyle że coś poszło nie tak.

Dziś mówi, że bunt jest niezbędnym etapem rozwoju, który trzeba przejść, by móc samemu zdecydować, czy chce się iść jak grzeczne dziewczynki do nieba, czy tam, gdzie się chce.

Beata dobrze pamięta te nauki w gronie podobnych sobie, które zaczynały się od uczenia na pamięć *Skowytu* Ginsberga i pierwszych nieśmiałych próbach sięgania po zakazane substancje, a skończyły na opanowaniu do perfekcji taktyki stawiania na swoim. – Natury nie oszukasz – mówi. A jej naturą była wyobraźnia i słowo, a nie ekonomia. To w słowie chciała pracować. Szukała humanistycznego kierunku, polonistyka nie była tym, o czym by marzyła, a dziennikarstwo oznaczało wtedy głównie nauki polityczne, bo to na tym wydziale je wykładano. Z niedowierzaniem przyglądała się programowi studiów w Instytucie Religioznawstwa: – To można tak dla przyjemności studiować? – zadawała sobie pytanie. To jest dozwolone? – Trudno jej było w to uwierzyć, męcząc się codziennie na zajęciach

obok studentek w garsonkach, deklarujących, że pragną zostać businesswomen.

Stacja 3. Holandia, czyli ucieczka, która uratuje Beatę. Poznaje ciekawych ludzi i pisze *Prawdziwych przyjaciół poznaje się w Bredzie*.

Uratowało ją radio, promotor i stypendium Tempus. Radio było studenckie, w miasteczku AGH na ulicy Rostafińskiego. Wracała z niego do rodziców po programie piechotą o drugiej w nocy i była szczęśliwa. Czasem nie wracała wcale, bo radio funkcjonowało jak drugi dom, w którym praca przeplatała się z ciągiem imprez. Promotor zajmował się mniejszościami religijnymi i dzięki niemu mogła skończyć studia, pisząc pracę o Festiwalach Kultury Żydowskiej, przy których zaczęła pracować jako wolontariuszka. Stypendium zaprowadziło ją do Bredy i dało jedną z ważniejszych lekcji życia. – Pojechałam tam z chłopakiem nieakceptowanym jak zwykle przez rodziców – wspomina. – Z upojenia wolnością przepuściliśmy na początku wszystkie pieniądze, więc musieliśmy jakoś sobie radzić, by nie zostać na ulicy. Los, w osobie naszego rówieśnika, studenta szkoły artystycznej Ahmeta, poznanego podczas pierwszego dnia w Bredzie (a dziś uznanego fotografa) zaprowadził nas do De Boulevard. Knajpa, w której pracowałam, przypominała trochę tę z *Dymu* Wayne'a Wanga. Trzy poziomy: bar, teatr i restauracja. Odjechany właściciel,

kolekcjoner kiczowatych dzieł sztuki, jego współpracowniczka-lesbijka organizująca regularnie Ladies Nights oraz nie mniej barwne ludzkie typy w charakterze barmanów i stałych bywalców. Studiowanie „międzynarodowego marketingu” zeszło na dalszy plan, czas wyznaczała odtąd praca na zmywaku na zmianę z kelnerowaniem, przesiadywanie w knajpie, wielogodzinne rozmowy przy pracowniczym stoliku w restauracji, połączone z nauką niderlandzkiego w praktyce. A także sprzątanie.

O swojej karierze sprzątaczkii, która okazała się w warunkach holenderskich nie tylko opłacalna finansowo, ale także poznawczo, testowaniu legalnych w Holandii używek, squalu w kościele i innych holenderskich perypetiach napisała po latach w książce *Prawdziwych przyjaciół poznaje się w Bredzie*.

W Holandii stało się oczywiste, że niewiele ją łączy z przyszłymi ekonomistami czytającymi o inflacji i upadku gospodarki.

Stacja 4. Beata marzy o pisaniu reportaży, ale etat dostaje w dziale ekonomicznym „Dziennika Polskiego”.

„Artyści... – mawiał czasem stary Ujma z charakterystyczną intonacją. (...) Wyrażał tylko dezaprobatę dla mieszania porządków, do którego nieuchronnie dochodzi, gdy takie zajęcia jak tkactwo, malarstwo czy muzykowanie wysuwają się na pierwszy plan, by zastąpić prawdziwą pracę, którą wykonuje się z narzekaniem i w pocie czoła” – czytamy

w *Andreowii*. Także dla rodziców Beaty dobrym zawodem był prawnik, ekonomista ewentualnie wykładowca ekonomii. Literatura? Wolne żarty. – W tamtych czasach, jeszcze przed debiutem Masłowskiej, pisarzami byli Miłosz, Szymborska czy Lem. Prawie nikt, w tym ja, nie wyobrażał sobie, że można traktować pisanie jak pracę, a tym bardziej zawód – mówi.

Alternatywą okazało się dziennikarstwo.

Też wyglądało podejrzanie, mało stabilnie, ale etat w prestiżowym lokalnym dzienniku stopniowo rozwiął nawet wątpliwości państwa Chomątowskich. – Zresztą wtedy już nie musiałam się przejmować cudzymi oczekiwaniami, zależało mi tylko na tym, żeby jak najszybciej się usamodzielnic – opowiada. Dostała etat w dziale... ekonomicznym, tylko tam było bowiem miejsce dla młodych adeptów tego fachu. – Na rozmowie z przyszłym szefem łągałam jak z nut, że idealnie nadaję się na to miejsce, przecież skończyłam studia ekonomiczne, choć niewiele z nich pamiętałam.

Musiałam kłamać przekonująco, bo zostałam przyjęta – śmieje się. – Oczywiście marzyłam o dziale reportaży albo kulturalnym.

Wszystko zaczęło stopniowo wracać na odpowiednie tory, choć przecież głośno o pisaniu i życiu z książek nikt wówczas nadal nie ośmielał się mówić.

Od strony dziennikarskiej ekonomia bywała nawet znośna. Dlatego Beata Chomątowska

oddała jej pięć lat swojego krakowskiego życia. – Zaczęłam współpracę jako laureatka konkursu na reportaże i tym właśnie chciałam się zajmować. Albo pisać do działu kultury. I robiłam to, ale po godzinach.

Hierarchiczność krakowskiego środowiska nie ułatwiała zadania – mówi. Walczyła – zarówno o newsy, jak i teksty, które spełniały jej ambicję. Taka walka pozostawia ślady, te dobre, które cię kształtują, jak i te złe, które w pewnym momencie sprawiają, że zaczynasz się dusić. Warszawa była wtedy jedynym oczywistym wyborem, który miał być początkiem zmian. Przeskokiem z regionalnej do ogólnopolskiej rzeczywistości. Na głęboką wodę.

Stacja 5. Kiedy z perspektywy stolicy praca w Krakowie jest mało istotna i pachnie prowincją, dlatego Beata musi się starać.

Stolica nie była ziemią obiecaną, gdzie wszystkie ręce wyciągają się po młodych, zdolnych, mających na koncie nawet jakieś wygrane konkursy. O przeskok starała się długo, wysyłając podania i maile. Umowa na pracę w gazecie, która powstawała na bazie „Życia Warszawy”, może nie była tą wymarzoną, ale pozwoliła jej się spakować i kupić bilet w jedną stronę. Pamięta ulgę i poczucie wielkiej wolności, kiedy opuściła Pałac Prasy przy ulicy Wielopole. To już nie było jej miejsce. – W nowym z początku też było niełatwo, zwłaszcza finansowo – przyznaje.

Wynajmowała mieszkanie do spółki z przyjaciółmi z liceum, utrzymując jednocześnie drugie – w Krakowie, bo współwłaściciele rodzice, zbulwersowani bezceremonialnym porzuceniem posady w porządnej krakowskiej redakcji, nie godzili się na jego wynajem.

Oprócz tego było jednak rozkoszowanie się nową sytuacją i miejscem, którego nie znała. I bujne życie towarzyskie. – Tak się złożyło, że równocześnie do Warszawy przeprowadziło się paru przyjaciół z krakowskich mediów, głównie radia i „Wyborczej” – wspomina. – W żartach określaliśmy się jako „diaspora krakowska”. Wspólnie rzuciliśmy się do eksplorowania Warszawy na różnych poziomach, przy okazji poszerzając nasz krąg o warszawskich znajomych. To był piękny, intensywny czas.

Kiedy projekt nowego wcielenia „Życia Warszawy” jednak nie wypalił, została bez etatu i pieniędzy. Tyle że coraz lepiej poruszała się w branży. Po pracy w „Pulsie Biznesu”, przyszła „Rzeczpospolita”, do której – jak dziś mówi – z zaangażowaniem godnym lepszej sprawy pisała o skarbie państwa, polityce ekonomicznej i stoczeniach.

Wypalenie zawodowe dopadło ją w dobrym momencie – bo wtedy, kiedy zaczęła się zacierać się granica między dziennikarstwem a pisaniem pod zleconą tezę, a sześć miesięcy urlopu zdrowotnego pozwoliło jej nie tylko złapać równowagę, ale i skończyć książkę. To był przedsmak kolejnej stacji – tym razem Muranów.

Wspomina: – Pierwsze mieszkanie, które wynajmowałam po przeprowadzce do Warszawy, mieściło się na terenie getta. Chcąc poznać otoczenie, czytałam między innymi *Getto warszawskie* Barbary Engelking i Jacka Leociaka. Wróciły tematy z magisterki o festiwalach żydowskich. Zaintrygował mnie temat osiedla-pomnika z gruzów, swoistego alchemicznego eksperymentu z udziałem mieszkańców. Ziarno zostało zasiane.

Stacja 6. Kiedy Beata zatrzymuje się w Muranowie na dłużej i zamyka wiele drzwi.

Muranów to był moment powrotu do pisania równoległą, dziennikarską ścieżką. – Nie miałam żadnych znajomych w wydawnictwach – opowiada. – Byłam nikomu nieznaną dziennikarką ekonomiczną, która nagle napisała reportaż o warszawskim getcie, a właściwie o dzielnicy, która według zamysłu Bohdana Lacherta wyrosła zeń jak Feniks z popiołów.

Gdy miała już pierwszy rozdział i opis książki, zaczęła od największych. – Kiedy z obiecujących odpowiedzi nic nie wychodziło, powoli ogarniała mnie rozpacz. W desperacji wysłałam jeszcze do pięciu kolejnych oficyn. W tym do Czarnego, które najchętniej wybrałabym jako pierwsze, ale onieśmielała mnie perspektywa kontaktu – byłam wtedy ich wielbicielek, zafascynowaną literaturą Stasiuka. Odpowiedź dostałam po 10 minutach. Monika Sznajderman pisała, że

druga część jej rodziny związana jest z Muranowem, a siedziba ich działu promocji znajduje się przy ulicy Andersa – okazało się, że w sąsiedniej klatce bloku, w którym właśnie kupiłam mieszkanie – opowiada. – Ta koincydencja nie mogła być przypadkowa. I nie była. Po weekendzie podpisaliśmy umowę.

Tak zaczęło się jej myślenie o pisaniu fabularnym. Przy okazji pracy nad książką powstało Stowarzyszenie Stacja Muranów. Nieplanowane. – Zebrała się grupa ludzi zainteresowanych tym miejscem, chętnych, by je przeobrażać – wspomina. – Działaliśmy po omacku, na wariackich papierach, kompletnie nieprofesjonalnie, kierując się bardziej intuicją niż intelektem. Nie obyło się bez wpadek i gorzkich lekcji, ale paradoksalnie, może właśnie dzięki tej brawurze, w ubiegłym roku obchodziliśmy dziesięciolecie istnienia.

Wraz ze *Stacją Muranów* i stowarzyszeniem otworzył się nowy etap. Po trzech kolejnych książkach (*Prawdziwych przyjaciół poznaje się w Bredzie*, *Pałac* oraz *Lachert i Szanajca*), napisanych jeszcze podczas etatowej pracy – najpierw w „Rzeczpospolitej”, potem w Muzeum Polin, zaczęła pracę nad *Betonią*. Ale wtedy była już wolna. – Dziennikarstwo przestało przypominać zawód, którego uczyłam się w praktyce. Jego stabilność też odchodziła do przeszłości, można było albo czekać, aż wszystko się zawali, albo zawnoczuć wykonać skok w nieznanne, przełamując strach i nie myśląc o spadochronie –

mówi. – Praca w instytucji kultury była ciekawą odmianą, ale struktury, hierarchiczność i różne mało twórcze obowiązki zaczęły mnie stopniowo uwierać, zwłaszcza że w stowarzyszeniu zasmakowałam innego, uproszczonego trybu – dodaje.

Betonia też domknęła pewien etap tematyczny, rozpoczęty *Stacją Muranów*, powiązany z przestrzenią miejską i architekturą.

Podkreśla: – Nieuchronnie wiązało się z tym wciskanie w kostium, w którym już nie czułam się dobrze. Miałam wrażenie, że powiedziałam już na ten temat wszystko, otwierając pole dla innych. Z utęsknieniem czekałam więc na taki stan, który towarzyszył mi przy pisaniu pierwszej książki. Można go określić jako umysł dziecka, czyli znów masz białą kartkę, porzucasz wszystkie wyobrażenia i oczekiwania na swój temat i piszesz!

Stacja 7. Los zatacza koło, czyli Beata wraca do Krakowa, do Pałacu Prasy, by napisać historię Andrzeja „wyciętego z matki, gdy była już stara”.

Pisarka przyznaje, że każdy temat zgłębia dość obsesyjnie, ale gdy czuje, że zapukała już w dno od spodu i przychodzi nowy pomysł, do którego jest przekonana, poddaje się mu.

Na tym, jak wierzy, polega istota działalności twórczej, niezależnie od tego, czy jest to gotowanie, pisanie czy fotografia: eksperymentowanie, szukanie nowych środków wyrazu. Może się to skończyć porażką, ale Beatę

Chomątowską stać na takie ryzyko. Tak było z *Andreowię*, książką, która jest jak krakowska szopka; pełna archetypicznych postaci, kultowych miejsc, plotek i smaczków – niektóre zrozumiały jedynie dla krakowian. – To drobne aluzje, mrugnięcia okiem odnoszące się do wydarzeń, o których plotkowało w różnym czasie miasto albo część miasta – ich nieznajomość nie przeszkodzi w odbiorze fabuły.

Kraków to też dekoracja, jak każda inna, miejsce akcji. Pewne figury, wątki czy archetypy znajdziemy także w innych miastach i wśród ich mieszkańców – zauważa. – Typy ludzkie naprawdę wszędzie są podobne, jak i uniwersalne są nasze słabości.

Andreowię skończyła pisać w lutym 2020 roku. – Jest takie powiedzenie: uważaj, o czym marzysz, bo marzenia się spełniają – uśmiecha się. – Zachciało mi się statusu debiutantki, wpadłam w pandemiczną czarną dziurę, czekając bezskutecznie na reakcje od wydawców i powoli godząc się z tym, że trzeba będzie pożegnać się z pisaniem. I wtedy przypadkiem, w innej sprawie, odezwał się Paweł Szwed z Wielkiej Litery, z którym jako pierwszym rozmawiałam o *Stacji Muranów* w 2011 roku, kiedy kierował Światem Książki. Historia zatoczyła koło.

Właściwie niewiele brakowało, by zamiast książki Beata zbudowała szopkę i przyniosła ją w pierwszy czwartek grudnia „pod Adasia”. – Kiedy w 2019 roku odbierałam stypendium artystyczne Miasta Krakowa,

zobaczyłam piękną krakowską szopkę na podium w magistracie. Akurat dołączyła do nagradzanych dyscyplin. Pomyślałam, że może też by wykonać szopkę i zgłosić ją na kolejny konkurs? – mówi. – Przystudiowałam regulaminy, opisy nagrodzonych szopek, książki o tradycji szopkarstwa. Wyobrażałam sobie własny twór jako trochę nietypowy, bez Wawelu, kościoła Mariackiego, może właśnie z Pałacem Prasy? Na realizację zabrakło mi zapłać, ale znalazłam usprawiedliwienie: przecież tak naprawdę już buduję szopkę, tyle że ze słów.

Jest charakterystyczny dla Krakowa budynek, archetypowe postacie, zależności między nimi, opowieść o mieście – regulaminowo.

Tym sposobem okazało się, że gatunek „szopka krakowska” może mieć podgatunek literacki.

Tak powstała powieść z kluczem, bo wielu bohaterów ma pierwowzory w realnym świecie. Niech was jednak nie zwiedzie proste odczytanie postaci, bo możecie znaleźć się na manowcach. A może czasami dobrze na nie zejść, jak schodzić lubi Beata Chomątowska? Gdzie dotrze w następnej książce?

Na pewno w miejsca, które nijak się mają do wyobrażeń, jakie ktoś ma na jej temat. W tym jest konsekwentna.

Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „Kraków”
2021, nr 6